

PROMIEN



PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

NR. 7

KWIECIEŃ 1937

ROK XII

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIEŃ

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marszałka Polski
J. Piłsudskiego w Ostrowie (Wlkp.)

Kierow. wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Ożegowski P. Prof. dr. J. Jachimek Feliks Pałys

Wiosna.

Z pod białej skorupy śniegów wykluwała się wiosna, jak pisklę, jeszcze wilgotne i nagie. Słaba jeszcze z początku pada co chwilę pod obuchem uciekającej zimy, ale słońce zawarło już pakt z wiosną i śle swe pułki — promienie na pomoc biednej — a drogiej jeszcze młodej swej oblubienicy, która drząca i nieśmiała a jednak porywająca wszystkich — idzie i niesie nam otuchę, nadzieję i radość. Powoli nabierze sił jak człowiek po chorobie i roztaczy wokół swoją barwę i urok. Przywdziewa cudne zielone szaty, przystraja je kwiatami a na kształtną głowę kładzie wieniec. Każdy kocha się w niej: A jak piękna dziewczyna ma swe zachcianki i kaprysy psując nie jednemu humor — tak wiosna zbobywa się na żarty i często zamawia sobie spotkanie nie z latem — ale z zimą... — starą siwą zimą.

Ale to mija, zapominamy o wszystkim i cieszymy się wiosną — ale każdy po swojemu. Dla każdego jest droga, ale dla młodych najbardziej, bo przecież ona — to my — więc się rozumiemy. Ona tętni życiem, wesolością — zdrowiem — a czy nam tego brakuje? Więc nie siedźmy już po domach, ale idźmy pogwarzyć z wiosną...

Kochamy Cię Wiosno dlatego, że jesteś cudna, więc przypominasz nam... Wolimy Cię od zimy, bo jak zielone drzewo jest piękniejsze od nagich konarów a wiosny człowiek jest lepszy od ponurego i piękna twarzyczka więcej podziwiana jest (oczywiście!) niż szpetna, tak ciepła wosniejąca wiosnę bardziej kochamy, niż ponurą i straszną zimą.

Redaktor Naczelny.

Garść wspomnień z wielkich dni.

Chwila dziejowa zbliżała się rwącym potokiem. Przeżywalismy ją już naprzód w pieśniach narodowych i poematach młodzieńczych, które się rodziły w tym nastroju. Pulsowała w żyłach młoda krew. Aż wreszcie nastał pamiętny 10 listopada. Już dzień przed tem odbyło się zebranie „przedrewolucyjne” u mnie. Wśród pieśni bojowych i powstańczych odbywały się „narady,” w których zapal najzupełniej zastąpił jakąkolwiek rozagę „Łącznikiem” z żołnierzami-Polakami był nasz „wojak” Madaliński, podówczas szeregowiec (dziś emerytowany porucznik.) Uzbrojenie stanowił jeden rewolwer (bębenkowy.) Czegoż było trzeba więcej, gdy zapалу nie brakło? Na prośbienie tym czasem radził „i palił cygara” „tajny” (choć znany wszystkim wróblom na dachu) „Komitet Obywatelski.” Stanowił on przedmiot kpin i złośliwości nas młodych, którzy czuli wtedy już jasno, że niepodległości nie bierze się w prezencie.

Jako najstarszy rangą w TTZ., a zarazem jedyny wyższy prymaner wydałem „rozkaz,” by koledzy „patrolowali” w niedzielę przed południem po rynku. Miał nadjechać prezes TTZ., Adamek, który do Poznania pojechał po instrukcje. Lecz wrócił on dopiero nazajutrz — bez zdecydowanych dyrektyw.

Lecz wypadki szły już same raz nabranyim rozpędem.

W niedzielę 10 listopada 1918 przybyło do mnie kilku kolegów. Było wśród nich dwóch Lewandowskich (starszy z nich ułan i akademik jun. odegrać miał główną rolę.)

— O trzeciej zbiera się Rada Żołnierska. Trzeba działać...

— Bierzemy inicjatywę w swe ręce. Zwołamy jutro żołnierzy-Polaków, by skierować rewolucję na tory właściwe.

— Dlaczego jutro? — mówię. — Każda chwila droga.

— A więc dziś, o 7 wieczorem w Domu Katolickim.

Komitet powiadomiony na pół godziny przed tem, by już nie zdołał przeszkodzić.

Tymczasem nadeszło dwóch żołnierzy otoczonych gawiedzią. Szli po „czerwony sztandar” do składu bławatów Stillachweiga. Rozeszliśmy się po mieście, by zwołać wici. Sam dotarłem do nowych koszar, stąd właśnie, po wyborze Rady żołnierskiej, wychodzili żołnierze. Zaczepiam wszystkich

po polsku: „Wszyscy Polacy o siódmej do Domu Katolickiego. Proszę dalej rozpowiadać.”

Co też z tego wyniknie?

Wynikło więcej stokroć, niż nawet w naszej wyobraźni młodzieńczej mogliśmy sobie śnić.

Olbrzymia sala Domu Katolickiego o siódmej była nabitą po brzegi żołnierzami z niedużą domieszką cywilnych. Więc zagaił Włodzimierz Lewandowski. Przemawiał porywająco i zakończył słowami: „Nie czerwony sztandar jest naszym znakiem, ale ten!” I wniósł w górę orła, namalowanego na czerwonym atlasie.

To, co nastąpiło, to jeden z tych momentów, które się pamięta, choćbyś żył i tysiąc lat...

Żywiolowym odruchem cała sala poderwała się na nogi, a ręce podniosły się do samorządnej przysięgi: „Do ostatniej kropli krwi bronić będziemy naszego orła!...”

Przewodniczącym wiecu wybraliśmy dr. Dubiskiego, który był dla nas tym najmłodszym ze „starszego społeczeństwa” — i największe wzbudzał zaufanie.

Niewiadomym bliżej przypadkiem znalazł się na sali sierżant (podobno zdegradowany porucznik) Legionów Modrzejowski. Miał polski mundur — czyż to nie była dostateczna kwalifikacji na „wodza?...”

Był więc i „wódz.” Wybrano też „Komitet Wykonawczy,” który niezwłocznie rozpoczął rokowanie z Radą Żołnierską na temat wydania nam broni. (Bo inaczej będzie z wami źle!).

Nazajutrz otworzono biuro werbunkowe... Wkrótce było 1500 ludzi zapisanych, a „wódz” Modrzejowski ćwiczyć „na ogródkach” trzy kompanie...

To był początek armii wielkopolskiej — pierwszy żołnierz polski w zaborze pruskim...

Ostrów był pierwszym miastem Wielkopolski, który, wiedziony trafnym instyngtem młodzieży, wkroczył na tę drogę, na którą stolicę Wielkopolski wciągnąć miał pamiętny dzień 27 grudnia.

Równocześnie z wiecem żołnierzy — na małej sali Domu Katolickiego pozostało zorganizowane przez nas (mimo że dotąd brakło kontraktu z młodzieżą pracującą) — Towarzystwo Młodzieży „Pogotowie.” Wstąpiło 88 chłopców w wieku przedpoborowym. Podzielono ich na drużyny: wartowniczą, gońców i sanitarną. Szczególnie gońcy, którzy po kilkanaście godzin na dobę pełnili służbę na rowerach, przydali się niezwykle.

W ciągu najbliższych trzech dni miasta faktycznie było w naszych rękach. „Soldatenrat” nie miał innego kłopotu jak wypisywać przepustki „Zu Mutti” (do mamusi)... W ten sposób Niemców stale ubywało, gdy każdy pociąg przywoził nam wracających z frontu Polaków, którymi gorliwie opiekowała się zorganizowana przez nas kuchnia żołnierska. Na dworcu nasi zabierali Niemcom broń. Było jej już coraz więcej. „Arsenał” mieścił się narazie — w Banku Kupieckim, gdzie też była „Główna Kwatera.” Pilnował go kleryk ks. Rozpek, co nieraz było przedmiotem dowcipów.

Nasz komitet, który się później przekształcił w Radę Ludową, myślał o... komunikowaniu się z Paryżem. W tym celu otrzymałem polecenie nabycia (od powracających żołnierzy)... stacji radiowej. Z wyszukanych ad hoc fachowcem, nie jakim podoficerem marynarki wojennej, chodziliśmy z minami zdobywców po „zakazanych przejściach” na dworcu i kazali sobie pokazywać elektrownię.

Humorystyczny projekt radiostacji został jednak wycofany. Ostrów poddał się — choć z ciężkim sercem — pod dyktando komitetu poznańskiego, które brzmiały: Czekać konferencji.

Z naszego batalionu, który tym czasem otrzymał stare koszary — wydzielono niepodlegające jeszcze demobilizacji roczniki. Powstał z nich pierwszy „Baon Pograniczny w Szczypiornie, początek armii Wielkopolskiej. Innych puszczono do domu — ale z bronią.

Wszyscy jednak wiedzieli, że to tylko odroczenie rozprawy.

Rzucono hasło: „Gdy wielki dzwon kościelny uderzy, a równocześnie z nim sygnaturka, wtedy kto żyw, niech spieszy do Ostrowa.”

Nastąpiły trwożne i zmienne dni oczekiwania.

Między niebem i ziemią.

Zdaje się, że tytuł „między niebem i ziemią” określa możliwie najtrafniej sytuację, która wytworzyła się w Ostrowie (i nie tylko w Ostrowie), w okresie między pierwszym, żywiołowym odruchem, zrodzonym z inicjatywy młodzieży, który bez rozlewu krwi dał faktyczną władzę nad miastem w ręce polskie — a chwilą zwycięstwa tej myśli, co pulsowała tak żywo w duszach młodych, że niepodległości nie bierze się w prezencje.

Był to okres, kto wie czy nie najciekawszy w tych przełomowych czasach, bogaty w przeżycia niezapomniane, a nieraz i pełne niezrównanego humoru.

Niemcy po odwołaniu — na skutek dyktando naszych „władz” poznańskich, naszego odrębnego wojska (z którego wyłonił się baon pograniczny w Szczypiornie), zaczęli znowu głowę podnosić. Odbyło się uroczyste przy-

jęcie wracających wojsk — pojawiły się nawet niemieckie chorągwie. Władze niemieckie, mimo „rad żołnierskich”, rządziły po dawnemu, tylko nieco łękliej. Słowem wszystko poczęło jakoby „wracać do normy”...

„Rewolucyjna pryma”

Wypadło i nam pomyśleć o przerwanej nauce. Postanowiono zwołać „rewolucyjną radę prymy”. Pryma liczyła 14 uczniów — 7 Polaków i 7 Niemców i żydów. Żadna ze stron nie miała więc większości. Lecz osiągnęliśmy porozumienie. Koledzy Niemcy byli wtedy wogóle mocno zdezorientowani i godzili się na wszystko. Ułożyliśmy więc „warunki” pod którymi gotowi będziemy „łaskawie” wrócić do przerwanej na ki. Były one następujące: 1) Każdemu wolno nosić odznaki narodowe (były ich cztery odmiany: biało-amarantowe (amarant — kolor księstwa warszawskiego — uchodził wtedy błędnie — za właściwy kolor polski), czerwone (rewolucyjne — nosili je tylko żydzi!), cesarskie i republikańskie (czarne, złote i czerwone) 2) Kto pracuje w komitetach obywatelskich, jest wolny od nauki. 3) Zaprowadza się naukę języka polskiego (chodziło tu głównie o klasę niższą i — o zasadę. 4) Wprowadza się wolność, stowarzyszeń i znosi ograniczenia osobiste. To ostatnie było ochłapem dla Niemców — gdyż co do naszych będziemy pewni, że nie nadużyją swobody „knapowania”). Jako najstarszemu, jedynemu wyższemu prymunesowi wypadło mi iść na czele delegacji do dyrektora. Podjąłem się oczywiście tej misji z zapalem, choć byłem w gruncie duszy przekonany, że „szef” wyrzuci nas za drzwi.

Lecz pan dyrektor dr. Beck, na moją wielką „mowę”, którą rozpocząłem od słów „Panie dyrektorze, czasy się zmieniały...” zareagował zgola niespodziewanie. Zamiast wyrzucić hezyczną delegację, zaczął „cienko śpiewać”, że to „nie czas na spory narodowe, gdyż płonie cała cywilizacja.” „Skoro ty tak cienko, pomyślałem, to ja zaczne grubiej” „Bardzo dobrze, panie dyrektorze, odpowiedziałem, będziemy wspólnie ratować cywilizację przed bolszewizmem. Ale niech w takim razie ci, którzy tu mniejszość stanowią, podporządkują się większości (tj. Niemcy — Polakom”).

Pan dr. Beck przełknął i to — i on, który nie tak dawno jeszcze, dla „naszego dobra” zabraniał nam w czasie przerwy rozmawiać po polsku [zakaz ten zresztą zawsze był przez nas osłentacyjne ignorowany] — teraz oświadczył, że choć nie może zmienić ustaw szkolnych, „w praktyce się na wszystko zgadza”.

Pan dyrektor miał jeszcze większych „cudów” się doczekać.

Jak uczniowie zreformowali naukę greckiego?

Wróciła więc pryma uroczyście - pochodem — gęstego] do „gamaii”. Rozpoczęły się lekcje, było to raczej pogawędki z profesorami, którzy sami uznali, że do nauki na serio zupełnie „nie ma nastroju”. Jedyne profesor Wagner [zresztą bardzo inteligentny nauczyciel], zwany „Alojsem” [przez długie a] zaczął nas na serio męczyć gramatyką greką i Homerem.

Lecz myśli nasze jakże dalekie były od Homera i różnych „aorystów”. „Tak dalej nie idzie”. Zebrała się „rada prymy”, na której powierzono mi opracowanie... projektu reformy nauki języka greckiego.

Ciąg dalszy nastąpi.

Kilka kwestii religijnych.

W związku z kształtowaniem własnego światopoglądu pozostają kwestie religijne, które podlegają krytyce a które odgrywają ważną rolę i pominąć się nie dają. Najczęściej zabierają się ludzie do nich albo z krańcowym sceptycyzmem, albo też zaczynają badania z niewłaściwej strony. Dzięki temu, religia staje się dla takich jednostek niezrozumiała, absurdalna i stąd rodzi się **n i e w i a r a**.

Twierdzę, że niewiara nie pochodzi z wewnętrznego uznania, ani też uznania rozumu, ponieważ ludzie niewierzący zanadto głośno rozprawiają o swej niewierze o swych wątpliwościach i lekceważeniu rzeczy świętych. Jeżeli bowiem ktoś bardzo nisko ceni jakąś rzecz, to o nią nie dba i o niej mało także mówi. Przecież jeżeli zdobyli swój światopogląd bez religii, to pocóż na każdym kroku oburzają się na nią? Skąd pochodzi to, że rzadko zaczepiają prawdy wiary, które są dla ich rozumu mniej dostępne a występują przeciwko tym, które są im nie na rękę? Zresztą co do samej niewiary: Człowiek, który jest o czymś silnie przekonany, potrafi to uzasadnić, zdać z tego sprawę innym. Tymczasem zapytany niedowiarek, w co wierzy a w co nie, zaczyna się płatać w nic nie znaczące okólniki i frazesy, których wytłumaczyć nie potrafi. Będzie mówił o religii, przyszłości, o etyce przyrodzonej, jednym słowem: zrobi wrażenie człowieka, który sam nie wie czego chce.

Skoro jednak śmierć zajrzy im w oczy, wtedy mimo wewnętrznego „przekonania,” szukają ratunku i pociechy w religii pogardzonej. Są jednak tacy, którzy potrafili sobie wyrobić takie przekonania, że żyją z nimi spokojnie, bez troski o przyszłość. Tu trzeba spytać się, czy są uzasadnione te ich przekonania? Na jakich poszukiwaniach opierają swoje przekonania, jakie znaleźli dowody dla swych twierdzeń, jakie książki przestudiowali w tym celu? Jeżeli to wykażą, to można ich traktować poważnie. Jednak przygniatająca ich większość całą swą mądrość zaczerpnęła, albo z rozmowy z podobnymi do siebie, płytszymi, chociaż może bardziej wygadanyymi, albo z książek pozornie naukowych, ale powierzchnowych i tendencyjnych. Takie są źródła, skąd wzięły początek ich przekonania. Tacy panowie chcąc wykręcić się od zarzutu lekkomyślności, będą zaręczali, że przekonania swoje oparli na gruntownych i poważnych badaniach. Dokąd doszli? Powiedzą: „Odrzuciliśmy wiarę, bo wiara to absurd”, ale nie mają żadnej prawdy wiary sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem. Przecież gdyby tak

było, to czy tacy geniusze jak: św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu, Dante Alighieri, Kopernik, Pasteur, Pascal, nie odkryliby tego? Przecież zdając się na zdanie uczonych, uznajemy w naturze tajemnice przyrody. Dlaczego więc tylko tajemnice wiary mamy odrzucać. Lecz i tu stawiają zarzut: Kto nam zaręczy, że pochodzą one od Boga?" Nikt inny tylko Chrystus Pan, druga osoba Boża a jego świadectwo poparte cudami wystarczyło, aby przekonać tyle potężnych umysłów, które musimy podziwiać za ich wiedzę i głębokość poglądów. Czy dla nich będzie Pan Bóg robił nowe cuda, jeżeli nie chcą uznać tego, co uznali i udowodnili ludzie prawdziwie mądrzy i prawdziwie uczeni. Przecież ci niedowiarkowie śmieją się, gdy człowiek prosty nie chce uznać n. p., że ziemia obraca się naokoło słońca a nie odwrotnie a sami nie chcą wierzyć Bogu! Do niewiary nie można więc dojść drogą prostego rozumu ani też drogą zdrowego rozsądku! Stwierdzić należy, że główną i decydującą rolę grają trzy czynniki, których kolejność składa się na drogę niewiary: 1^o zaniedbanie praktyk religijnych, 2^o wrodzona człowiekowi pycha, 3^o zepsucie.

Jednym z ważnych a zdawaćby się mogło poważnych zarzutów, jest powoływanie się na autorytety ludzi uczonych którzy jednak nie wierzyli. Na to mogę przytoczyć tabelę z pracy prof. Demerta, protestanta, który zebrał dane co do 300 najslawniejszych uczonych, na przestrzeni wieków, z wszystkich dziedzin. Na 300 tych znakomitości 242 osoby należą do ludzi wierzących bez zastrzeżeń a tylko 20 jest napewno niewierzących lub tylko obojętnych. Co do reszty, brak danych. Jaki imponujący stosunek 12:1!

Nie należy również pomijać zarzutu, że duszy nie ma. Dlaczego? Czy dlatego, że pod skalpelem chirurga w czasie sekcji zwłok nic takiego się nie znajdzie? Przecież jak daremny trud szukać w nocy słońca na niebie, bo go tam nie ma, tak w zmarłym ciele szukać duszy nieśmiertelnej! Dusza jako twór nieśmiertelny nie może składać się jak ciało z wody, siarki, fosforu, węgla i t. p! Więc duszy nieśmiertelnej szukać trzeba nie w trupie ale w żywym człowieku. Tam ją ujrzyć można ale nie tak, jak widzi się ciało, lecz po objawach jej działalności na zewnątrz. Kiedy patrzymy, na dzieła wielkich ludzi, to musimy stwierdzić, że za tą powłoką ich ciała materii tego, kryje się coś, co swym połosem siłą i potęgą przewyższa wszelką materię, że poza tą powłoką jest dusza i to dusza nieśmiertelna.

Jest jeszcze wiele kwestii i wiele zarzutów co do reli-

gii, jednak te wydawały mi się najważniejsze i najczęściej spotykane. Należałoby wspomnieć jeszcze o powadze i rozumie, tolerancji, etyce niezależnej oraz o obłudzie i podszywaniu się pod katolicyzm ludzi małej wartości a także o wolnej woli. Ale to, o ile się da innym razem.

Anso.

Drzewiej.

Sporo lat leżały dwa przygrube tomy „Słownika Staropolskiego” (Kramowolskiego i Niedźwiedzickiego) w okazałej bibliotece naszego TTZ-etu i nikt się nimi (absolutnie nikt!) nie zainteresował. Leżały nawet nierozcięte. Rozciąłem — i znalazłem tam prawdziwy skarbiec mowy polskiej, rewelacyjne (jak na nasze gimnazjalne stosunki) pochodzenia etymologiczne, wyrazy martwe już, a jednak żywe, pełne dźwięczności, siły, bystrego odczucia, spotkałem masę wyrazów dziś używanych w innym, niż dawniejsze marzenia, i przekonałem się, że każdy kto chce sobie wyrobić język, jędrny lapidarny i silny, każdy szanujący się Polak — literat, musi poznać nie tylko język słonecznej Hellady i potężnego Rzymu, ale musi także wgryźć się w rodzinną mowę storopolską.

I oto próbki mych „odkryć”.

Nasza błotnista *Barycz*, to tyle co targowisko. I jeszcze więcej błotnista *Krepa* — to starodawna gra w karty; *Mikstał*, „niebardzo podle miasto” wywodzi się z *rynku*; nasz *Ostrów* — to kępa na rzece; krakowski *Wawel* znaczył tyle co góra (wawel) i słona *Wieliczka* — wielka (wieliczki - wielki); *Tatry* — wysoka skała (tatra).

Borys znaczyło — prostak, gbur; *junosza* — młodzieniec; *Markiewicz* — syn margrabi; *wiertel* (!) ćwiartka; *gomóła* — krowa bez rogów; *Karkosz* — łuczywo; *prociwa* (!) przekora; sprzeczką; *smyk* — złodziej; *strug* (Strug!) — galar; *szczubiel*, *szczubłatko* — *szczupak*, *szczupaczek*; *puśkin* — człowiek o otyłej twarzy (Puszkina?); *żak* — litczat sieć na ryby, rewolucja, kleryk, rybałt; *wacek* — mieszek na pieniądze; *sklimkować* — zełgać, oszukać; *kotować* — śmiać się; *kupiec* — gra w karty; *mańka* — lewa ręka; *michałki* — przechwałki; *nowak* — nowicjusz; *orlicz* (śp. gen. Orlicz - Dreszer) wojownik, Polak; i wreszcie król tenorów, kochający wszystkie podwiki, białołowy, białki (kobiety) *Kiepura* — to dawna wysoka czapka;

Wiele dzisiejszych wyrażen nie ma tej siły plastycznej, tej dźwięczności, jaką miały te same znaczenia „drzewiej”.

Np.: porwiesz — złodziej,
sadzawka — więzienie
zabanica — siekiera
maslek, piernat, ciastok — niewieściuch
dławipacierz — nabożniś
nocnik — nocny włóczęga, piszczba — muzyka,
machacz — szermierz, wielkusz — olbrzym,
wichrzyłep, szumiłeb, świszczylapa — warchoł
gromot — łoskot, trzaskawica — burza,
krętak — maneż konny, kierat,
niemocnica — szpital, żalomsza — msza żałobna
podłaziny — zaloty, zaguzikować — zapiąć
ćmachnać, chrostnać, prasnać, chlastnać — uderzyć
jadzić (!) się — gniewać się, kielczyć się — śmiać się
miankać — żebrać, trupieć — umierać

Szereg słów dzisiejszych w dawnych czasach znaczył zupełnie coś innego, liczne słowa straciwszy znaczenie, upadły, zmalały wartościowo.

Przykłady: (dziś) bielizna — (drzewiej) skóra wiewiórki
mieszkanie — bydło pycha — honor
kasa, skarb — kaźń koc — kaucja, zastaw
czupuna dziewczyna — kordzianka
pasztet — pastel zsiadłe mleko — kiszka
korzyść — prefekt; kalesony — spodnice
rumieniec — różaniec ślizgawka — puszczaczką
świecki — szewski chudy — lubawy
pastuch, dozorca bydła — stadnik
bezprawie, gwałt — lewo
oddawać się czemu — leżeć
powziąć nadzieję — nadziać się
nocna biesiada — oblujstwo
szkoła, konary — oda osieł — kusza
(!) drukarnia — wyciśnica zdrajca — wydawca
(!) utrata zmysłów — zachwycenie
(„Wyciśnica” Powszechna J. Bąka i R. Górskiego)

Zamiast *pra - babka - dziad* mówiono

przedbaba, przeddziad

„Jura” znaczyło zarazem sąd, kłamstwo, błaga, baśń
(ciekawe, charakterystyczne to i często prawdziwe!)

Józef Szczublewski.

Coś o solidarności.

Przypomniałem sobie pewne zdarzenie, jakie miało miejsce w lutym. I chociaż już dużo czasu upłynęło — to jednak trzeba coś o tym powiedzieć. Było to przed zabawą VII i VIII-mych klas. Mianowicie jedna z „podrzędnych” pensjonarek, wyraziła się przed zabawą podobno w ten sposób, że nie ma sensu urządzać zabawy, ponieważ ósma klasa to zdegenerowani młodzieńcy a siódmoklasiści znów są smarkaczami. Pocóż więc ma się urządzać zabawę. Ta „panna” (koleżanką nazwać jej nie można) nie zastanowiła się, że to jej „powiedzonko” wyjdzie poza mury Gimnazjum Żeńskiego i zawita „niiby piorun z jasnego nieba” w progach naszego Gimnazjum.

Wiadomość ta zajęła nasze umysły i nie zapomnimy o niej tak szybko. Na przerwach tworzyły się grupy „poszkodowanych” i zawzięcie dyskutowały o tak przykrej wieści, jak też i o samej koleżance, poddając ją szczegółowej analizie (szczególnie przeprowadzono badania nad budową „tali” jak i też nóg).

Ostatecznie zapadł wyrok, mocą którego skazuje się winną na „nie bawienie się z nią” na zabawie, która odbyła się w sobotę.

Wszyscy, byli z początku bardzo zadowoleni z tego obrotu rzeczy i pięknie by było, gdyby koledzy w imię solidarności — „wszyscy za jednego a nie jeden za wszystkich”, dotrzymali słowa. (Wspomnę jeszcze, że w przededniu zabawy, dowiedzieliśmy się, że „ona” nie przyjdzie, bo pewno już coś „zwąchała”. Dlatego, też z tego powodu bardzo żalowaliśmy.

W sobotę, tak pamiętną dla każdego, gdzieś około godziny 5-tej zjawiła się na sali „niiby zły duch”, albowiem jakiś niesamowity chłód owionął wszystkich, tak kolegów, jak i... koleżanki (z małymi wyjątkami). Och te wyjątki! Wszyscy spiskowcy triumfująco spoglądali na siebie, przekonani, że im się wszystko uda. Ale tu zawiodła ta nasza solidarność! Tu, gdzie można było jaskrawo pokazać, że wszyscy bez żadnych wyjątków zgadzamy się, tu gdzie dobitnie można było udowodnić naszą solidarność, „wyjątki” (choć bardzo, bardzo nieliczne) pokazały, że nie są naszymi kolegami, że nie poczuwają się do solidarności. Znalazły się trzy takie jednostki w wśród naszych kolegów, które złamały naszą jedność.

Skoro zaś złamali słowo tym samym są zdegenerowanymi smarkaczami. Bo czy tak nie jest? Jeśli panna „Z” (da-

jemy jej do zrozumienia, że to ona była, a nie inna) wyraziła się o nas ujemnie i ubliżyła nam, to skoro ktoś się poczuwał do tak podłego przezwiska — dał dowód tym, że tańczył z nią. Koledzy!! Skoro oni przyznali się do tego, to pewno ta ich „bohanka” też nie lepsza, bo przecież „swój swojego zawsze znajdzie”. Nie przyznajemy się ani do nich, ani do niej.

Nie będę wymieniał nazwisk tych zdegenerowanych smarkaczy, tylko dla lepszego zrozumienia i domyslenia się, kto to jest, opiszę ich wygląd zewnętrzny i zajęcia.

Otóż zaczniemy od góry. „Pierwszy, to ośmioklasista, średniego wzrostu, zawód jego — pilot”. Następny to znany „poeta, który stale topi się w morzu miłości a nigdy nie może się jakoś udławić. Ponadto trochę megaloman.

Ostatni najmniej przewinił, ponieważ tańczył z „nią” tylko dwa razy — ale to starczy. Tłumaczył się, że to przez pomyłkę! No — ale dwa razy nie można się mylić! Więc i ty „tyczko grochowa” — „dragału” popraw się i pamiętaj na przyszłość. „Żygusiu” bądź solidarnym.

Pierwszy zaś „amant” już „pono” przed zabawą przysięgał jej — że będzie z „nią” tańczył: pod tym warunkiem przysła na zabawę.

Zaznaczyć na zakończenie należy, że i tak z pewnością odczuła, że prawie wszyscy nią pogardzamy i to nietylko my gimnazjaści, lecz także i koleżanki mają takie samo o niej zdanie.

Szlak Mickiewiczowski.

... ho do nas młodych włóczęgów,
cały należy szeroki świat,
a każdy spotkany łazik
byle morowy, także nam brat.
A więc adieu... w świat ruszamy dziś znów,
Szukajcie mnie tam gdzie zachodzi słońce...

(Z pieśni „Wileńskich Włóczęgów”).

Alea iacta est..

Wyruszyliśmy po długich naradach w pieszą wędrowkę „szlakiem mickiewiczowskim” w feralnej liczbie trzynastu uczestników. Dzień był piękny i pogoda zapowiadała się doskonale. Po pożegnaniu z towarzyszami i przyjaciółmi ruszamy na wschód, by w dniu dzisiejszym osiągnąć Czombrów,

końcowy punkt etapu Wygoda — Świtez — Czombrów. Wśród pogodnego nastroju dotarliśmy do oddalonej o 10 kilometrów, Małej Sworotwy. Jest to wielka wieś białoruska. Porządek we wsi stosunkowo nadzwyczajny mimo, że zamieszkuje tutaj dosyć wielki procent żydów. Chłopi przyglądają się nam z ciekawością i życzliwością. Droga we wsi wybrukowana (rzadkość!!) i utrzymana we względnej czystości. Na skraju wsi zwilżamy gardła wodą i dalej naprzód. Wchodzimy do lasu. Nasz przewodnik, „włóczęga wileński” myli się w orientacji mapy i zdaje się że 6 kilometrów odległości do Wielkiej Sworotwy to trochę za duża przestrzeń. W lesie jeden z uczestników natrafia na węzła zwanego „miedzianką” zwinny gad oglądał nas wszystkich i wsunął się do lasu. Przypadek ten nasuwa temat do opowiadań, dzięki czemu przestrzeń skraca się coraz więcej. Z lasu wychodzimy na pola i skręciwszy na prawo stajemy przed ruinami. Sądząc z pozostałości po murach i baszcie, był to jakiś warowny zameczek. Oglądamy fosę, bramę w murze i wchodzimy do środka. Na lewo dosyć dobrze zachowany mur, zakończony basztą o podstawie kwadratowej. O kilka kroków stąd znajduje się sadzawka o nieco żółtej, z powodu gliniastej gleby, wodzie a dalej ciągnie się piękna aleja lipowa. Tędy prowadziła droga do zamku. Stoimy chwilę, usiłując odtworzyć w myśli dawny widok.

Z westchnieniem ruszamy dalej. Droga nasza, dla odmiany, wiedzie przez bezleśne obszary, wśród zbóż i gryki. Ponieważ słońce piecze niemiłosiernie, pojedynczo, by utrzymać tempo, zdejmujemy nasze lekkie bluzy. Bedziemy w czasie drogi zażywać kąpieli słonecznej. Podchodzimy wreszcie ku Wielkiej Sworotwie. Przechodzimy przez most na strumieniu i nagle jeden z towarzyszy rzuca myśl. Kąpiel. Mimo perswazji, zmuszeni jesteśmy stanąć, gdyż prawie wszyscy do kąpieli mamy ochotę. Wybieramy miejsce przy młynie wodnym sądząc, że tu będzie głębiej. Niestety! Rozczarowanie. Woda płytka do kolan. To chłodzi zapal, więc też po półgodzinnym postoju ruszamy znowu naprzód. Po chwili stajemy, by obejrzeć cerkiewkę trójścienną, pochodzącą z połowy XVIII w. Kilka zdjęć i dalej ruszamy ku zarośłom położonym na stoku wzgórza. Wchodzimy aleją pięknych starych dębów do czegoś w rodzaju parku. Tuż na skraju rzuca się nam w oczy jakiś kamienny, miniaturowy obelisk, a na nim okragły hełm z dzidą. Bliżej spojrzawszy rozpoznać można niemiecką „pikelhaube”. Kilka małych pagórków wskazuje na mogiły żołnierskie. Zatrzymujemy się, by odcyfrować nazwiska poległych, wryte na blasze wmurowanej do pomnika. Na lewo od tego stoi maleńki kościółek. Pytamy ludzi co to za zaby-

tek. Objaśniają chętnie. To prywatna kaplica hrabiny Potockiej, dziedziczki tego osiedla. Zbaczamy na lewo i po chwili oczom ukazuje się obraz strasznego zniszczenia. Ruiny olbrzymich stodół z kamienia, dalej zniszczona prawie doszczętnie wozownia i drewniany o kamiennym podmurowaniu, lamus tworzą żałosny widok. Ze względu na osobliwą budowę lamusa, robimy zdjęcie. Tymczasem ktoś zaprasza nas na obejrzenie palacu i ogrodu. Przez dziurę w płocie dostajemy się do wnętrza. Okazuje się, że jest to olbrzymi sad. Dzierżawcy jego, żydzi zachęcają nas do kupna jabłek. Z powodu pragnienia kupujemy kilka kilogramów i szukamy palacu. Przez kręte zaniedbane ścieżki dochodzimy z lewej strony do palacu. Jest to wspaniały, jednopiętrowy budynek, kryty czerwoną dachówką. Na dachu spacerują poważnie hociany. Otwory okien zabite deskami, gzyms i bielutki tynk tu i ówdzie pondbijany. Białość ścian stanowi dziwny kontrast w porównaniu z zaniedbaniem. Z hoku wychodzimy przed front. O zgrozo! W miejscu, gdzie na pierwszym piętrze znajdował się balkon, znajduje się zerwana do połowy posadzka. Dźwigają ją na głowach olbrzymi brodacze z porozbijanymi nosami. Zamiast drzwi pałacowych, z nieregularnie zbitych desek wrota. Zuliżamy się ku nim. Niestety, przeczucia nie myła. Wnętrze zawalone sianem a sufit, jakby na irnię, pokryty piękną inozaiką. Odchodzimy nieco, by objąć okiem całość. Wejście do palacu zhudowane było w rodzaju tarasu. Elegancki zajazd w kształcie koła, wybrukowany równą kostką, dopełnia reszty widoku. Jakże piękny musiał być widok tego palacu w czasach jego żywotności. Zmrużamy oczy, by zobaczyć wizję staropolskiego życia. I widać, — przed ganek zajeżdża zaprzężona w czwórkę koni elegancka karoca. Staje. Z wnętrza wychodzi ubrany z francuska jegomość i pomaga wysiąść eleganckiej damie w sukni o szerokiej „krynolinie”. Z otwartych drzwi wyskakuje z głośnym szczekaniem pudel pani wojewodziny, czy kasztelanowej..

Jakże oplakany stan tego pięknego palacu. Żydowski dzierżawca we wstrętny sposób niszczy piękny zabytek dawnej kultury. W poważnym nastroju przebywamy 15 kilometrów dzielących nas od wsi Kudowicze, znanej z walk legionowych. We wsi ruch. Pełno ułanów. Okazuje się, że to manewry. Gdzieś zdala słychać warkot silnika samochodu ciężarowego a w górze lata samolot z białą - czerwoną szachownicą. Żar i duszność powietrza spadły nieco, gdy po przejściu wsi dochodzimy do lasu. Na tablicy przydrożnej napis „Lasy Państwowe — Leśnictwo Świtez”.

— „Nareszcie” — wyrывa się mimowoli z ust. Do je-

ziora tylko 6 kilometrów. Z nową energią ruszamy przez las. Nagle zasięg drzew urywa się i ktoś krzyczy.

— „Świtez”. — Niestety, to złudzenie! Okazuje się, że wziął za jezioro zagony białokwitnącej gryki na olbrzymiej polanie. Wreszcie ścieżką dochodzimy do szosy. — Z prawej strony piękny gmach schroniska Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a przed nami jezioro. Tu siedział często Adam Mickiewicz. Podchodzimy do brzegów jeziora. Wielka tafla jeziora wywiera na nas potężne wrażenie. I chciałoby się usiąść i dumać nad Mickiewiczem. Niestety! Cywilizacja, w postaci upudrowanych i wykarminowanych żydówek oraz jego-mościów o wybitnie semickich rysach twarzy, ma ciżbę i niewieczy cały urok Świtezi. Postanawiamy się kąpać. Okazuje się że woda jest bardzo ciepła. Kolejno wchodzimy do wody, by odświeżyć spocone ciało. Kąpać wolno się tylko w Świtezi przy brzegu w odległości kilkudziesięciu metrów. Podyktowane jest to troską o dobro kąpiących się, gdyż w głębszych miejscach panują tak silne wiry wodne, że mogą wyrzucić kajak, z tego też względu na Świtezi nie wolno jeździć nawet kajakami. Tymczasem, podczas kąpieli, nad lasem otaczającym zewsząd jezioro, ukazują się ciemne chmury. Ponieważ nasza marszruta wykazuje nocleg w Czombrowie, oddalonym o sześć kilometrów od Świtezi, wkładamy ubrania, by ruszyć w drogę i być tam przed deszczem. Nagły wiatr i rześisty deszcz zmuszają nas do czekania w schronisku. Po godzinie okazuje się, że na pogodę nie ma co liczyć, gdyż deszcz pada ciągle. Chwila na powzięcie decyzji. Ruszamy mimo deszczu ze schroniska do Czombrowa z piosenką „wileńskich włóczęgów...”. Sformowane trójki miarowym krokiem walą o bruk szosy.

Mimo deszczu, idzie się dosyć rażno i z humorem. Po pięciokilometrowym marszu deszcz przestaje padać i z lekka zaczyna się wyjaśniać. Dochodzimy do Czombrowa. Delegacja udaje się do dworu z prośbą o przenocowanie. Właściciel pan Karpowicz, ze staropolską gościnnością przyjmuje nas i prowadzi do stodoły na pachnące siano. Za chwilę przynoszą zamówione przez nas mleko. Kolacja przechodzi szybko w milczenie, gdyż apetyty są wielkie. W pewnej chwili odczuwam, że ścięgno u prawej nogi zaczyna boleć tak, że nie mogę zgiąć nogi. Stosujemy masaż i układamy się do snu. Zasypiamy prędko, zmęczeni całodziennym marszem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zegar.

Biegnie
strzałka
wkoło —
wkrąg,
szybko
mija
cyfer
łuk

kólek,
trybów,
oś (i),
krąży
ostry
wskaznik
wciąż

W jarzmo
cyfer
skutw
czas
leci
w przestrzeń
biegiem
chwil.

Życie
w sekund
krótkich
ćmie
szybko
biegnie...
A gdzie
cel ?...

„Ryslin”

Marzenie...

Ludzie codzienni, szablon, życia znoje
Starcem mię robią, a ja chcę jak dziecię
Myślą ulecieć w te krainy moje,
Zapomnieć zgoła o tak ciężkim świecie;
Przesyt już we mnie, pomimo, że młody.
I życie moje osłania zaduma,
Rumieniec szczęścia nie krasi jagody
A moja dusza ze smutkiem się kuma...

Marzę więc często, w własnej duszy grzebię.
Usypiam myśli; niech śnią sobie baśnie
O złotej doli i o ziemskim niebie,
Że nad nim słońce promienne nie gaśnie...
Szczęścia na ziemi — wiem to — nie skosztuję,
Ale pomarzyć chyba o nim mogę?
Wszakże marzenia się nie zepsują,
Gdy się przebudzę — pójdę dalej w drogę...

I pójde bańnią złotą pokrzepiony,
Co ja wyśniłem w marzeń mych godzinę,
I pójde dalej, mniej nieco strapiony,
I znów kamieni drożnych kilka minę...
Bo tak to pędzę ten żywot tułaczy:
Krocze wśród smutku, śnię o złotej doli,
Jednak nie wpadam do czarnej rozpaczey.
Tylko w marzeniach nie pomnę, co boli...

„Skala”

W Czerwonej Hiszpanii.

Zmrok już zapadł.

Niebo i ziemia były czerwone od krwi i pożarów.

A jeszcze słońce krwawymi promieniami zalewało stoki górskie, niziny i piaszczyste obszary.

Cisza była uroczysta — jak przed zachodem.

Tylko zdala słyhać było zrazu cichy, po tym coraz głośniejszy warkot samolotu. Na purpurowym tle niebios wyraźnie odbijała się jego sylwetka.

Każdy mógł łatwo ją dojrzeć.

To też z dołu wiele par oczu goniło za nim trwożliwie. Do nich należały też zamglone starościami i troskami oczy biednej wdowy. Nie bała się samolotów, nie. Bo, przecież od czasu wojny tysiące przeleciało nad jej głową.

Lecz dziś?

Z dzieckiem przy piersi przyciskała się do zimnej skały. Nie dawno bowiem zdołała uciec z miasta przed zgrają komunistów i skryła się w tych stokach górskich.

Lecz czyż jest bezpieczna?

Dalej już iść nie może, a nuż wojsko w dalszym marszu będzie tędy przechodzić?

I zaraz odrzucała podobne myśli, a jeszcze silniej tuliła się do nagiej, lodowatej skały, która miała być jej wybawicielką.

Tymczasem mrok już zapadł.

Setki tysięcy gwiazd błyszczało, jak perły na ciemnym firnamencie.

Głucho było i cicho.



Dyr. Adam Czechowski



Prof. Bogdan Chrzanowski Opiekun T. T. Z.



Prof. Dr. Józef Jachimek Redaktor Odpowiedzialny



Prof. Stanisław Komęza były Redaktor Odpowiedzialny.

Karykatury wykonał Kolega Hieronim Konieczny.

Warkot samolotu zdawał się być głośniejszy. Zielone jego światelko wyglądało jakoby jedna z milionów gwiazd. Biedna wdowa gonila za nim okiem.

Nagle — struchlała.

Z dała dało się słyszeć jakieś dudnienie, jakoby odgłos kroków.

— Czerwone diabły! — szepnęła matka i ostatkiem sił próbowała się podnieść, lecz bezsilnie opadła na ziemię. Długimi, kościstymi i chudymi jak u trupa rękami, objęła głaz skalny. Z oczu płynęły jej łzy. Była bezradna.

Tymczasem do wąwozu wtargnęła pokrzykująca i hałaśliwa, z pochodniami w ręku, kompania żołnierzy. Na czele szedł z błyszczącymi na piersiach orderami porucznik.

— Carramba! — krzyknął w pewnej chwili i palcem wskazał postać przyciskającej się do skały kobiety. —

Rozstrzelać ją!

I poszedł dalej.

W górze zaś jedna, mała gwiazdka krażyła powoli, powoli, aż w końcu poczęła maleć tak, że zaledwie mała, jasna kropka widniała na horyzoncie. I znikła zupełnie.

W tej właśnie chwili padł jeden, ogólny strzał.

Ciało wdowy runęło na ziemię.

Jednocześnie opodał, o parę kroków, spadły z wysokości kilku metrów, rozstrzaskane o skały zwłoki dziecka.

I nawet księżyc na tę chwilę zakrył swe oblicze ciemniejszym obłoczkiem.

Egzekucja była skończona.

Porucznik podszedł do zwłok kobiety, przypatrzył się bliżej rysom jej twarzy.

I odszedł.

Twarz jego była trupio-błada.

Nerwy mu drgały.

Schował się za złomem skalnym.

Po chwili powietrze rozdarł huk wystrzału rewolweru.

Wszyscy podążyli w tym kierunku.

Zbledli.

Na ziemi leżał porucznik z rozstrzaskaną czaszką.

Obok niego znaleziono małą kartkę, na której odczytano, napisane zdenerwowaną ręką słowa:

— To była moja matka!

T. R.

Hades.

Powstałe pod wpływem wrażenia, jakie
wywarło zwiedzenie „Hades” — podziemi
kościół podominikańskiego w Wilnie.

*W pieszczeli, czaszek zwal
Kłębiący się ponuro
Pochodni blask się wdarł,
Pod sklepem gdzieś pod górę
Zółtawy odbłask świec
Spleśniałe oblał kości.
— Umartych straszny wiec...
Wiecują tak w wieczności. —
O swoim życiu śnią
Gromadni — a milczący...
I tylko błyska skrza
Oczodół próchniejący
Katakлизw strasny zwał
Żyjących gdzieś — na świecie,
Tysiące stłoczył ciał.
W piwnice, tak jak śmiecie.
Tak kończy w grobie świat...
Piękno, Radość, Życie
Wśród tych spróchniałych szmat
Zetlało w trupie bycie.*

„Ryslin”

Śmiertelny strzał.

Ostatni dzień matury. wynik... Antek wyszedł z domu i spieszynym krokiem ruszył do „gamał.” Po drodze dogonił pannę Hankę, koleżankę z czwartej klasy, mieszkankę tej samej, co i on kamienicy. Ukłonił się, przywitał i zaczął rozmowę, naturalnie od pogody. Dochodzi do kościoła, gdy rozmowa zesła na temat matury.

— I jak kolega sądzi: będzie świadectwo maturalne, czy nie?

— Myślę że tak —

— A jak nie?

— Będzie chyba! A jak nie? To... ch... chyba się zastrzele...

Weszli do kościoła, uklękli w mroku pod chórem. Antek modlił się w swoim interesie a Hanka za sympatycznego kolegę. Po wyjściu rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Stało się coś nadzwyczajnego! Hanka wróciła szybko do domu. Nawet nie odprowadziła Maryli przez „kolejówkę” do „Europy.” Nawet, to prawdę rzekłszy, nie chodziło jej o Marylę tylko o tych kolegów, co tak ładnie kłaniają się.

Szybkie to przyjście zdziwiło mamusię.

— Czy wam ostatnia wypadła, żeście tak szybko wrócili?...

— No nie! Widocznie zegar musi iść zapóźno... —

Zakrzętnęła się, pomagając mamusi do obiadu, porządkując kuchnię, dokładając na ogień. Pomogła też mamusi wynieść na sienię co dopiero zagotowane konfitury; „zapomniała jednak o jednym słoiku, zapewne wskutek roztargnienia w jakie popadła, nadsluchując, czy drzwi nie skrzypną. Skrzypnęły wreszcie, otwarte cicho, nie tak, jak zwykle, z rozmachem. Wyszła więc z bijącym serduszkiem, trzymając „zapomniany” słoik czereśni. Wszedł Antek, a zamykając drzwi, obrócił się, całą siłą naciskając kłankę; widocznie się ciężko zamykały.

Hanka podniosła na niego pytający wzrok. Błady, zaczerwienił się, po czym znów zbladł, skinął przecząco głową i odszedł do góry.

Położyła „zapomniane” konfitury i wróciła do kuchni, rozmyślając nad dołą sympatycznego kolegi. — Szkoda go — westchnęła prawie głośno, aż mamusia na nią spojrzała, myśląc, że córeczka napewno oberwała „fifę.” Ale w sercu tliła jej się iskierka radości, która wraz z refleksjami wzrastała... Cieszyła się z tego, że mimo wszystko, Antek jeszcze rok będzie w Ostrowie i będzie mieszkał w tej samej kamienicy...

Z rozmyślań zerwał ją nagły huk...

„Jezus, Maria! Zastrzelił się!” wyszeptała pobladłymi wargami. Trzasnęła drzwiami i pędem ruszyła na pierwsze piętro. Jak huragan wpadła do stancji „gamajaków” Antek wyciągnięty na leżance... zerwał się wystraszony.

— Co się stało? —

— Co się stało? — powtórzyła Hanka, zdziwiona bardzo przyjemnie.

— A czemu koleżanka tak tu wpadła? —

— Ja... ja... myślałam, że kolega... zastrzelił się — wyszeptała, skubiąc w zakłopotaniu fartuszek.

Antek rozśmiał się, ale nie drwiąco, tylko jakoś mile zerkając a w uśmiechu tym można było wyczuć podziękę za sympatię i za zainteresowanie.

— Ale skąd koleżance przyszło to do głowy? —

— Bo tak coś strzeliło! —

Poczęli szukać przyczyny huk. Zeszli na dół i ujrzeli sufit obryzgany czerwienią konfitur...

Zybała Stanisław.

Dzieciństwo.

*Na dębowym progu strzechy usiadło
I bose stopy w złotym kąpie piasku —
W bujnej czuprynce pieni mu się radość,
Boć na podwórze ulewą rozblasków,
Szczęście się wciska przez ciepłe sztachety!!*

A dziś — człek chmurny — nowoczesny kretyn.

Józef Szczublewski

Prowincja.

Jak często słyszy się następujące słowa:

— A pan skąd pochodzi?

— Z przeproszeniem — z Kielc, czy innej jeszcze mniejszej miejscowości. Czemu mówi „z przeproszeniem?” Dlaczego wstydzi się, że pochodzi z głuchej, „zabitej deskami,” prowincji? Przecież w takich Kielcach, czy innym mieście prowincjonalnym, oprócz niektórych może cieni, są i blaski. Zdarza się także, że co wartościowsze jednostki dążą do stolicy z swego miasta rodzinnego. Pozbawia to przecież prowincję tylu wartościowych jednostek. Należy przecież dbać o rozwój całego państwa, a nie protegowanie niektórych ośrodków, co miało miejsce na przykład w Rosji carskiej, gdzie stolica, Petersburg była wspaniałym, na miarę zachodnio-europejską miastem, prowincja zaś na pół Azją. Rozejrzyjmy się po Europie. Wszak miasta bardzo małe, nie raz posiadają uniwersytety o światowym znaczeniu. Wymienię tutaj Heidelberg, Upsalę, Oxford itd. W Niemczech wielu

mieszkańców starych, o wiekowej tradycji miast, patrzy z góry na olbrzymi, nie mający jednak żadnej historii — Berlin. Jednak i w Polsce spotyka się centra kulturalne na głębokiej nie raz prowincji. Możemy tu zaliczyć Krzemieniec, Puławy, Zamość.

„Zapadłość“ prowincji będzie też w dużej mierze zależała od mieszkańców danego miasta. Postęp zależy od ludzi. Gdy wybitne jednostki uciekają po prostu z miasta, rzecz jasna, że musi ono upaść! Z drugiej strony trzeba dodać, że kto chce zostać marynarzem, lub poświęcić się górnictwu nie może żyć gdzieś w głębi kraju. Kto zresztą ma wyjątkowe zdolności, ten dobrze nawet czasem robi przenosząc się do stolicy. Na stanowisku, o szerszym polu działania, może zrobić więcej niż w ciasnym okręgu prowincji.

Szczególnie w dziedzinie pracy społecznej można dużo zrobić poza stolicą, we własnym rodzinnym mieście. Odczuwa się bowiem doskonale potrzeby swej dzielnicy.

Nawiasem, niejako, trzeba wspomnieć o tak modnym dziś regionalizmie. Hasło to samo w itsocie zdrowe, kryje jednak w sobie dużo niebezpieczeństw. Wskutek długich rozbiorów. Polska zupełnie nie zespoliła się wewnętrznie. Hasła regionalne n. p. na Wilenszczyźnie, łatwoby mogły przerodzić się w t. zw. „Krajowość,” stawiającą sprawy Wilenszczyzny przed sprawami Polski. Regionalizm huculskopokucki, wołyński i poleski łatwoby mógł przekształcić się w tendencje separatystyczne o podłożu ruskim. Trzeba kochać swe strony rodzinne, lecz trzeba przede wszystkim kochać Polskę jaką całość. Chcąc Ją kochać, trzeba Ją poznać. Korzystajmy więc z wieku naszego i urządzajmy i bierzmy udział w wycieczkach po Polsce...

eM-Be

Z TEK I WZOROWYCH WYPRACOWAŃ.

Omówienie jednego sonetu mickiewiczowskiego.

Mickiewicz będąc w Rosji napisał kilkanaście przepięknych sonetów. Dlaczego jednak one są tak piękne? Na to złożyło się kilka, szczególnych cech, jak temat, sposób opisu, wyrazy rucho - i dźwięko - naśladowcze, obraz, kolory, tło i wiele innych czynników. Wezmę na przykład sonet „Alusztą w dzień”.

W tym sonecie zamiast miasteczka opisuje nam poeta te niwy złotokłose, ciemne lasy i zielone stepy, które je staczają. Alusztą leży nad morzem. Dokoła rozciągają się półka zbożowe, piękne, szumiące lasy i rozciągle, w kwieciste stepy, nad którymi unoszą się roje różnobarwnych motyli i szarańczy.

Gdyby artysta-malarz dokładnie przeczytał ten sonet, to mógłby namalować piękny obraz. Na pierwszym planie rozciąga się kwiecisty step a nad nim latają barwne motyle. Jest ich tak dużo, że zakrywają nawet lazuruwe niebo. Z prawej strony, od lądu, nadciąga ławica szarańczy. Z lewej błyszczą w słońcu fale wzburzonego morza, które z wściekłością pędzi na skalisty brzeg. Na morzu tu i ówdzie płyną okręty, które wyglądają raczej jak zabawki. W nadbrzeżnych falach pluskają łabędzie. Dalej na stokach gór kołyszą się zielone lasy a w dolinach złocą się pola uprawne. Góry wyłaniają się z rannej mgły. Tłem jest lazuruwe, czyste niebo.

Poeta siedząc na przybrzeżnej skale słyszał szum wściekłego morza. Od lądu dolatywały go modlitewne szmery stepów, pól i lasów.

Myśli i uczucia poety musiały być sprzeczne, gdyż wyobrażają je te wszystkie kontrasty, które spotykamy w tym sonecie, jak góry a morze, lasy, pola a stepy, cisza lądowa a groźny szum morza. Poeta był nad morzem Czarnym ale myśli jego były na Litwie. Oczyma duszy widział Marylę, Tomasza i wszystkie mu drogie osoby, za którymi tęsknił.

Sonet „Alusztą w dzień” składa się z czterech zwrotek. Dwie pierwsze zwrotki są czterowierszowe a dwie następne trzywierszowe. Wiersze liczą po trzynaście zgłosek i kończą się rymami żeńskimi. Rymy są przeplatane i następują po sobie jak a, b, b, a. lub jak a, b, a. Początkowo rytm jest spokojny i dobrze oddaje nam ranną ciszę budzącej się przyrody. Potem staje się on ostrzejszy i cieńszy, gdyż ma oddać szum rozbijających się o skały fal. Opis poety jest bardzo wyrazisty i plastyczny a to tylko przez zastosowanie przenośni, porównań, wyrazów ruchonaśladowczych. Przenośni mamy bardzo wiele. Są nimi: Z piersi otrząsa mgliste chylaty, szumi namazem niwa slotokłosa, kłania się las; sypie z majowego włosa rubin i granaty; nad łąką latające kwiaty baldakimem z brylantów okryły niebiosą; ciągnie swój całun skrzydlaty, skała przegląda się łysa, wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi; gra światło, sroższą zwiastując burzę dla ziemskiej krawędzi, na głębinie fala lekko się kołysa; kapią się w niej floty i stada łabędzi. Jak widzi-

my w tym sonecie przeważają przenośnie. Mniej jest porównań, bo tylko takie: sypie z majowego włosa — jak z różańca kalifów, „motyle różnobarwne, niby tęczy kosa”, „gra światło jak w oczach tygrysa”... Obraz uwypuklają wyrazy rucho i dźwiękonaśladowcze, których tu mamy niezbyt wiele. Są nimi słowa: „otrząsa, sypie, okryły, pędzi, ciągnie”... Wyrazami dźwiękonaśladowczymi są określenia: szumi, szumy, szturmy. Barwy są wzięte z przyrody. Sonety należą do poezji opisowo-lirycznej, gdyż najpierw poeta opisuje przyrodę a potem odpowiednio nastroja nas do dalszego czytania. W tym sonecie jest tylko opis i z niego trzeba wysnuć, jakie były myśli i uczucia poety.

Duczmal Marian (IIIb).

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

Prowadzi: „Sekcja Regionalno-Dziennikarska
Kółka Polonist pod red. R. Fiksińskiego III b

Felieton.

Mietek! —

— Wstał Mietek. Szeroki w biodrach, wąski w ramionach (ok. 2:1). Nieco wyższy niż ławka. Włosy czarne, pod włosami głowa wielka, dwie ręce.. i reszta. — Stanąwszy, spojrzał przed siebie owym dziwnym wzrokiem Marsjanina.

— Zjednoczenie Włoch — zażądał rozkaz

— Królestwo sardyńskie było małym państwkiem, liczyło zaledwie 5.000.000 mieszkańców, lecz za rządów króla Wiktora Emanuela zaczęło szybko wzrastać w siłę. Pod opieką rządu powstawały koleje żelazne i wynosiły już 1150 km 524 m, skarb posiadał 2 miliardy 16 milionów 10 tysięcy 405 lirów, a armia mogła liczyć 90... ee... która to była strona? Aha: 191. — Tak panie psorzel! Ja tego nie rozumiem. Bo tam wyraźnie piszą, że 97.5 stopnia, a nie 90; zaraz, przepraszam, ja mówię historię, prawda? To co innego. Więc... mogła liczyć do 90... ale nie, to się jednak nie zgadza. Zaraz!...

— Mietek! — zawołano z góry: — Usiądź! Tobie się wszystko „majta”. —

— Panie psorzel! To było jednak 97 i pół. Pamiętam. Napewno... 97, albo natrum, znak Na, ciężar atomowy 22.997, ciężar właściwy 0,97, temperatura topnienia... tak, naturalnie 97 i pół stopnia!

— Mietek! Jesteś całkiem nieprzygotowany! —

— Przepraszam panie psorze! Jak słowo dajem, jestem przygotowany, na wszystkie lekcje!

Jak słowo dajem!

I w oczach mu zaświeciła łza szczerzego oburzenia.

„Addis-Adela.”

Pomyłka.

W fotelu usiadłem z nudv.

Aż tu patrzę: na kanapie

Śliczne dziewczę śpi i chrapie.

Słowo daję: cud nad cudy!

Włoski czarno-aksamitne,

Układane w cudne skręty,

Na policzkach płomień kwitnie:

Niżej.. kołnierzyk pomięty.

Podchodzę bliżej: i w strachu,

Rączkę chwytam wymuskaną;

Otworła oczki i buzię

I zawołała: O mamó!

— Ja nie mama — rzeknę na to;

— Ja koleżance... ten... tego...

Ona znowu: Tato! Tato!

I wciąż: Tato! — A ja: Nego!

I... nie chrząkała nawet, gdy jej

Wleciała mucha do pysia:

Aaach! To była ulubiona

Mojej siostry lalka — Krysia.

„Addis-Adela.”

KĄCIK TŁUMACZEŃ

Samotność...

Artur Schopenhauer

„Aphorismen zur
Lebensweisheit”

.....W zupełnej zgodzie można żyć tylko ze sobą samym:
— nie ze swoim przyjacielem, ani nie ze swoją umiłowoną;
różnice bowiem osobistości i usposobienia wprowadzają dysonans,
choćby tylko nikły. Stąd prawdziwy a głęboki
spokój serca i najzupełniejszą równowagę ducha — to naj-

wyższe, obok zdrowia, ziemskie szczęście — znaleźć można jedynie w samotności a, jako trwałe usposobienie, tylko w najgłębszym odosobnieniu. A jeśli wówczas świadomość samotności (das Lebst) jest wielka i bogata, wtedy popada się w najszczęśliwszy stan, jaki można znaleźć na ziemi. Owszem, możnaby nawet tak powiedzieć: — Chociaż przyjaźń, miłość i małżeństwo tak ściśle ludzi wiąże ze sobą, to jednak zupełnie uczciwie (ehrlich) postępuje każdy tylko ze sobą samym, a najwyżej jeszcze ze swym dzieckiem...

...Co ludzi czyni towarzyskimi, — jest niezdolnością do znoszenia samotności i samemu w niej trwania. Ich pustka i znudzenie jest tym, co ich popycha do towarzystwa, albo w obce strony i w podróż. Jak miłość do życia — w gruncie rzeczy — jest tylko obawą przed śmiercią — tak pęd ludzi do towarzystwa nie jest istotnym spoczywa bowiem nie na umiłowaniu towarzystwa, ale na obawie przed samotnością.

...Arystokratycznym jest uczucie, które żywi skłonność do oddzielania się i samotności. Wszyscy lądacy są towarzyscy — aż litość bierze, a przeciwnie, że ktoś jest człowiekiem szlachetnego pokroju dowodzi, to że nie znajduje upodobania w pozostałych bliźnich, ale coraz to więcej przekłada samotność nad ich towarzystwo. Towarzyskość każdego jest mniej więcej w odwrotnym stosunku do jego duchowej wartości, a powiedzenie: „On jest nietowarszkim” — mówi prawie że „on jest człowiekiem o wielkich zaletach”...

Od tłumacza: Celem skonfrontowania różnic zapatrywań na indywidualne i społeczne życie człowieka, podam w przyszłym numerze wyjątki z Cicerona „De amicitia,”

Dani

Król i wieśniak.

Pewnego dnia, Henryk IV, król francuski, był na polowaniu. Oddaliwszy się od swego orszaku spotkał wieśniaka, siedzącego u stóp drzewa na brzegu drogi.

— „Co ty tu robisz?” spytał Henryk IV.

— Czekam by zobaczyć przejeżdżającego króla.

— Jeżeli chcesz wsiąść ze mną, zaprowadzę cię w pewne miejsce, gdzie będziesz go mógł widzieć”. Gdy tak jechali, pyta wieśniak: „Jak będę mógł rozpoznać króla?”

— To będzie ten, rzekł jego towarzysz, który nie zdej-

mie swego kapelusza, podczas gdy wszyscy inni pozostaną z odkrytą głową.

Wkrótce Henryk dogonił grupę myśliwych, którzy wszyscy, aby go powitać, natychmiast się odsłoniли.

— No dobrze! rzekł do wieśniaka, wiesz teraz, kto jest królem?

— Dalibóg! Panie, będzie nim pan albo ja — odpowiedział ten — ponieważ obaj mamy kapelusze na głowie.

Ka - Ma.

KĄCIK HARCERSKI.

Służba Ojczyźnie.

Na wstępie naszej służby harcerskiej przyrzekaliśmy służyć Polsce, Ojczyźnie naszej. Służba ta jest i ciężka i odpowiedzialna. By móc się wywiązać z niej, jak najlepiej, musimy przede wszystkim Ojczyznę ukochać. Musimy rozbudzić w sobie instynkt narodowy, musimy stać się pełni Polakami. Wierząc, że z tej gorącej miłości zrozumienia obowiązków i sposób wykonania tej służby, zjawi się w nas sam.

Zastanówmy się więc, czym jest Polska. Albowiem chcąc coś kochać, trzeba to znać. Przymknijmy oczy i przedstawmy sobie Polskę.

Od śnieżnych, wyiskrzonych wierzchów, od w niebo sięgających turni tarzańskich, poprzez zielone, falujące złotymi kłosami niziny, aż hen ku żółtym piaskom wybrzeża morskiego. Od kwitnących kulturą rolną niw Wielkopolski, aż po rozległe, pełne ryb i zwierzyny błota poleskie.

Oto rzeki nasze, wśród których prastara, królewska Wisła przewodzi, rojne od statków, tratw i łodzi. Oto miasta nasze. Wielowiekową tradycją cieszący się Kraków, pełna ruin wielkomiejskię Warszawa, bohaterki Lwów, ognisko kultury Poznań i tyle innych... I całą tą ziemię zamieszkuje przeszło trzydziestomilionowy naród. Rolnicy pracują w pocie czoła nad czarnymi skibyami roli praocjów, górnicy w ciemnościach wydobywają węgiel, rudę czy sól. Robotnicy, otoczeni migotliwą wstęgą blasków odbijających się na pędzących z szaloną szybkością kołach rozpedowych, motają przędzę, czy też wśród oślepiającego blasku i olbrzymiego blasku i olbrzymiego gorąca, kuja żelazo w hutach. Żołnierze ćwiczą się, by na każde wezwanie móc stanąć w obrozie granic. Artyści tworzą arcydzieła sztuki. Pomyślmy, wszyscy ludzie ci to nasi bracia — rodacy.

A przeszłość nasza. Wspomnijmy lata chwały i potęgę, lata bólu i rozpacz. To my przecież jesteśmy spadkobiercami tej tysiącletniej spuścizny. Wszak krew tych co walczyli pod Grunwaldem, Kirchholmem, Cecorą, Wiedniem, Racławicami, płynie i w naszych żyłach. Wszak to przodkowie nasi. Nie możemy przecież dopuścić do tego by dzieło to, wzniesione kosztem tylu trudów i ofiar miało pójść na marne. Nie wiemy, jaka nam jest przyszłość sądzona, dobra czy zła. Wiemy jednak jedno: Od tego jakimi my sami będziemy, na jaką pamięć zasłużymy u potomków naszych, przyszłość ta będzie w bardzo dużej mierze zależna.

A więc wszystko jest naszą Ojczyzną: Ziemia, Rasa, Duch — Przeszłość, Teraźniejszość, Przyszłość. Wszystko to jest jedną, nierozdzielalną całością. Kto tej całości nie widzi i nie czuje, ten niegodzien nosić miana Polaka. Jest kosmopolitą, okazem bezbarwnej, jałowej „międzynarodowości.”

Pamiętajmy więc, że służba Ojczyźnie polega na umiłowaniu jej. Służba państwu oparta na przypadku (n. p. na fakcie otrzymania posady państwowej.) nie jest warta nic, bo nie wypływa z najgłębszego umiłowania opartego na zrozumieniu, co jest dla tej Ojczyzny dobrem, a co złem.

eM-Be II. H. D.

Nos duo turba sumus.

Zajmując dwuosobowy namiot, czuli się panami położenia. „Wolność Tomku, w swoim domku”. Spiewali, rozmawiali, kłócili się, układali jadłospis na każdy dzień itd.

Monopol tego ostatniego miał w swym ręku kucharz.

Często, z karteczką i ołówkiem w ręku, zasięgał to tu, to tam rady, kreślił, poprawiał, wreszcie zniecierpliwiony szukał ostatniej deski ratunku.

— Witos, Witos! Krzyknął chrapliwym głosem.

W odpowiedzi zatętniły odgłosy kroków.

Współtowarzysz Witos, z zawodu inspekcyjny, w obawie, że kucharzowi sprawią „kocówę”, spieszył z pomocą, trzymając w ręce toporek.

— Czego chcesz ode mnie, zdyszany głosem pytał Witos, widząc kucharza spokojnie leżącego na pryczy.

— Nic, nic, chwileczkę, chciałem się tylko zapytać, czy będzie to dobre — to mówiąc wskazał na „jadłospis”. -- Na pierwsze danie... nie, to skreślimy, będzie kartoflanka, bo widzisz, mam jeszcze trochę pietruszki i innego zielska

pod dostatkiem, a ziemniaki się psują. Na drugie danie śliwki... nie, to na trzecie, a na drugie...

Witos nie czekał końca. Znikł w namiocie sekretariatu. Za chwilę doleciały do uszu kucharza echa koncertu wieczornego, nadawanego przez radio.

Sporządzenie jadłospisu odłożył na bok. Wyteżył natomiast słuch, upajał się dźwiękami muzyki i marzył o... jutrzejszym obiedzie.

— Przebrzmiały już echa muzyki i gwaru obozowego. W obozie układano się do snu. Światła w namiotach pogasły.

W namiocie kucharza jeszcze się paliło. — Kończył układanie „jadłospisu”.

— A do licha, skończ już, Witos mówiąc to, zatrzepotał gwałtownie kocem i zgasił świeczkę.

— Ho, ho! Triumfował kucharz, to jeszcze nie koniec, tak się nie ucz.

Posuwając się w namiocie na „czworakach”, szukał zapalek. Poprzewracał wszystko, aż wreszcie znalazł. Światło napowrót zabłyśnię, lecz lekki podmuch wiatru, przedostający się przez niezasnurowane wejście namiotu, zgasił płomień ponownie.

— Hallo, hallo! Wartownik do mnie, rozległ się przytłumiony głos kucharza po całym obozie. Cisza...

— War... tow... nik! W podskokach do mnie!

Ciemny kształt wartownika podszedł do namiotu.

— Jakie życzenia druha gospodarzu?!

— Namiot mi zaraz zasnurować!

— ... Kiedy ja jeszcze sekretariatu nie zasnurowałem, a tam Komenda siedzi i dmucha im.

— To mnie mało obchodzi! O, ja was przyskrzynię.

W odpowiedzi na to zaszeleścił pospiesznie sznurowany namiot.

— Ale jutro kości za to nie dostanę, a śliwek pół mezażki, dobra?

Będę jutro miał oko u kucharza, — myślał zadowolony „Barabol”. Rozmyślania jego przerwał śpiew, z namiotu kucharza, z początku solowy a później duet.

Kucharz i Witos śpiewali, a wartownik „Barabol” cały zamienił się w słuch, zadumał się dla spotęgowania wrażenia usiadł pod masztem i... usnął.

Gdy się obudził, doleciały go ostatnie, senne już słowa pieśni: „A wszystko te czarne oczy...” Skończył.

Wnet głośnie chrapanie było dalszym ciągiem zaczętego śpiewu...

Tego już „Barabol” nie słuchał, udał się na dywan i w śnie opowiadał swoje wrażenia.

KĄCIK KRYTYCZNY.

Kol. J. S. „Plaża“ nie nadaje się do kwietniowego numeru.

Kol. St. Z. „W związku z wizytacją“ nie możemy wydrukować.

Kol. „Kumotr“ — „Przysłowia i przepowiednie...“ zbyt blade i nie ciekawe.

Kol. A. Z. „Na imieniny“ wydrukujemy w majowym numerze.

Kol. „Ryslin“ — „Koncert e-mol“ i „Nastrój makabryczny“ wydrukujemy później.

Kol. „Erte“ „Wizja“ wydrukujemy w majowym numerze.

Kol. St. Z. „Wieszczny fakt“ odłożony na później.

Kol. „Em-for“ — „Grek“ odłożyliśmy na maj.

Kol. Wr. M. „Braterstwo“ artykuł słaby. Umieścimy jak będzie miejsce w innym numerze.

Redaktor Naczelny

Życie organizacyjne.

GKS „Venetia“ — sekcja ping-gongowa

Sekcja wzięła udział w turnieju drużynowym o mistrzostwo m. Ostrowa na rok 1937, organizowanym przez KSM. Ostrów, zdobywając zdecydowanie tytuł mistrza. Skład drużyny: Murach, Krysiak, Dymalski, Zdzienkowski, Bigoś, Wronecki. Drużyna uzyskała następujące wyniki:

GKS „Venetia“	—	KSM. III.	9 : 1
„		KS „Jedność“	9 : 1
„		RKS „Naprzód“	10 : 0
„		KSM. II.	10 : 0
„		Komp. telegraf.	10 : 0
„		KS „Merkuria“	10 : 0
„		KSM. I.	8 : 2

Od Redakcji.

Numer obecny ukazał się z miesięcznym „tylko“ opóźnieniem. Niestety szybciej nie można było go wydać, gdyż maszyny naszego „koncernu“ były zajęte przez „intruzów“. Dlatego za zwłokę przepraszamy (gdyż nic innego nie zostaje).

Artykułów polemicznych, na temat naszego „Kącika gorącego“ nie umieszczamy, gdyż chcemy w ten sposób zamknąć dyskusję.

Kier. Wydawnictwa.

H U M O R

Z pamiętnika.

Na niemieckim czytał mój kolega swoje zadanie domowe
Jedno zdanie szczególnie zawikłane zwróciło uwagę profesorki.

— Co to znaczy? Ja tego nie rozumiem!

— Ja też — odpowiedział zakłopotany.

Na matymie traciłem Franca w plecy i spytałem:

— Był już pierwszy dzwonek? —

— Nie pamiętam — odpowiedział mi zły.

Więc o czym on myślał.

Na polskim mówiliśmy o Mickiewiczu. Profesor pytał
i pech chciał, że mnie. Pytania nie słyszałem, jednak szybko
odpowiedziałem za podszeptem tego „z prawej.”

— Dwie, panie profesorze, dwie!

I znowu dostałem po głowie. Dopiero po lekcji dowie-
działem się, że pytanie było: „Czy Mickiewicz miał żonę
i jak się nazywała”.

Takie już moje szczęście.

Na tej samej lekcji spytał profesor Henia:

— Kto ci się więcej podobał z „Pana Tadeusza”

Telimena czy Zosia?

— Zosia.

— Dlaczego?

— Bo młodsza — odpowiedział z uśmiechem.

I słusznie.

Er-te

TREŚĆ:

1. Wiosna, 2. Garść wspomnień z wielkich dni.
3. Kika kwestii religijnych, 4. Drzewiej. 5. Coś o solidarności.
6. Szlakiem Mickiewiczowskim.
7. Zegar. 8. Marzenie. 9. W czerwonej Hiszpanii
10. Hades. 11. Śmiertelny strzał. 12. Dzieciństwo.
13. Z teki wzorowych wypracowań. 14. Kącik
15. Kącik tłumaczeń. 16. Kącik harcerski. 17. Ką-
cik krytyczny. 18. Życie organizacyjne. 19. Od
Redakcji. 20. Humor.

Czcionkami Drukarni Powszechnej J. Bąka i R. Górskiego
w Ostrowie Wlkp., ul. Kaliska 31 a.

(Nakładem T. T. Z-tu)